

ma żadnych uczuć ani szacunku do samego siebie – pisał o bracie Ma Jian w artykule opublikowanym z okazji 20. rocznicy masakry na placu Tian'anmen w brytyjskim „The Guardian”. Nie jest w stanie mówić, ale jest w stanie siedzieć przed telewizorem i zaśmiewać się do łez. Czasem godzinami gapi się w sufit. Nie ma kontroli nad własnym życiem. Tak jak chiński naród.

Czy Chiny obudzą się ze swojej śpiączki? Czy nadejdzie czas otwartej dyskusji o wydarzeniach z 1989 roku? Czy oferta Komunistycznej Partii Chin, która zdaje się mówić Chińczykom: rosnący dobrobyt za spokój i posłuszeństwo (większość ofertę przyjmuje), straci kiedyś na atrakcyjności? Nic nie wskazuje na to, aby w krótkiej perspektywie czasu można było na któreś z tych pytań odpowiedzieć twierdząco. Dlatego Ma Jian pozostanie zapewne jeszcze długo poza chińskim obiegiem literackim, a „Pekińska koma” – bardzo wartościowy głos w dyskusji o tragedii na placu Tian'anmen – będzie lepiej słyszalny dla nas niż dla tych, którzy w pierwszej kolejności powinni go usłyszeć.

Łukasz Tarnowski

Fantastyka kulturoznawcza

Maciej Parowski

Burza. Ucieczka z Warszawy '40

Wydawnictwo Narodowe Centrum Kultury
Warszawa 2009

Książki jak jeźdźcy. Najlepsi są znikąd. Nikt ich się nie spodziewa. Nikt nie ma żadnych oczekiwań. Nikt ich nie zna, więc bez obciążeń załatwiają swoje porachunki.

„Burza. Ucieczka z Warszawy '40” Macieja Parowskiego, powieść pokoleniowa, powstawała ponad 20 lat i powszechnie znane były jej fragmenty, konspekty w formie scenariuszy bądź fragmentów komiksów. Ale jeszcze mniej można było się spodziewać ubrania pomysłu w formę powieści. Zwłaszcza że autor, legendarny redaktor, selekcjoner pokoleń literatury, od dekad zarzekał się pisarstwa jak żaba błota i każde podejście do niego z którąś z dwóch jego dawnych książek prozatorskich kwitował: **Po co to kupiłeś?** Dodatkowo temat września 1939 roku był ostatnimi laty mocno eksploatowany przez autorów (zwłaszcza fantastyki) na fali fascynacji, +

jaka nadeszła po latach odplywu wszelkiego zainteresowania historiã. A zaludnianie kart powieściowych postaciami przedwojennej Polski (Witkacy, Piłsudski, Wieniawa, Bodo i kto się nawinie) to pomysł nadużywany masowo po renesansie wywołanym przez Marka Krajewskiego.

Dostaję bólu zębów, jeżeli w jakiejś opowieści jest więcej niż trzy postacie historyczne. Jakich sens fabularny ma wysługiwanie się protagonistami powszechnie znanymi, ociosanymi przez rzeczywistość? Taki z pozoru ułatwiający manewr zabija świat przedstawiony. Sprawia, że fikcja i zawieszenie niewiary puszczają w szwach. Opatrzność tak stworzyła literaturę, że tylko zmyślone historie otrzymują iskrę bożą. Literackie losy Jeremiego Wiśniowieckiego, Richelieu, Klaudiusza czy Roberta Roya musiały być bujdą na reSORACH, by stać się klasyką, a nie tylko nędznymi fabularyzacjami.

Tymczasem u Parowskiego postaci autentycznych jest około setki. I to same największe nazwiska. Od Rydza-Śmigłego, przez Fogga, aż po Marlenę Dietrich. Jeżeli taka książka nie jest porażką, to znaczy, że nie jest ona zwykłą powieścią fabularną. Na nią trzeba znaleźć inny uchwyt.

Warsaw night fever

Pomysł na historię jest prosty. We wrześniu 1939 roku wszystko się działo tak, jak się działo, aż spadły ulewne deszcze, które zakopały armię niemiecką w błocie. W efekcie polskich sukcesów militarnych nasi sojusznicy odważają się wychylić nosy ze swoich nor i Niemcy zbierają baty. Nosy natomiast boją się wystawić Sowietom. Dorzeczność tej cudownej interwencji pogodowej jest nieistotna. Ważne, że żyje wówczas to pokolenie, które miało pójść pod nóż historii.

„Burza” pokazuje Warszawę urządzoną przez tych, którzy (za Jackiem Kaczmarskim) zamiast w bohaterzy, poszli w generały.

Akcja toczy się wielowątkowo. Po pierwsze, kręcąc film. Józef Lejtes, przedwojenny mistrz kina, kręci sensacyjną opowieść (z Marleną Dietrich) o naszym świecie, to znaczy o Warszawie pobitej przez Hitlera. Rozmach tej superprodukcji zachwyca samego Alfreda Hitchcocka.

Po drugie, odbywa się konferencja „Polityczne i wojskowe aspekty ostatniej wojny”, na którą zjeżdżają sławy z całego świata. Jest generał Bernard Law Montgomery i George Orwell, pułkownik Claus von Stauffenberg i Sophie Scholl, Charles de Gaulle i Albert Camus. Wszystkie nacje mają okazję w luźnej dyskusji wylać swe żale i przedstawić swój punkt widzenia. I choć prelegenci mówią o alternatywnej wojnie, to w rzeczywistości tematem ich sporów jest wojna prawdziwa (nasza). Francuzi tłumaczą się ze swej bierności. Brytyjczycy mają sposobność wykazać się butą. Niemcy nie chcą przyznać Polakom prawa do martyrologii (bo sami wszak wycierpieli).

Po trzecie, muszą być elementy prawdziwej fantastyki. I te objawiają się w postaci nadnaturalnego przenikania światów. Bohaterowie mają wrażenie, że pod pęcherzem rzeczywistości tkwi coś przerażającego, że film kręcony przez Lejtesa opowiada prawdę. Po ulicach biegnie wariat Antek Powstaniec, który zamiast spokojnej europejskiej stolicy widzi morze ruin i wśród nich przemyka, walcząc z Wehrmachtem. Tajemniczą rolę odegrywają dwaj sławni okultyści Stefan Ossowiecki i Karl Wiligut, którzy potrafią przestawić zwrotnice rzeczywistości. To ich starcie zdecydowanie o losach Polski.

Odnoszę jednak wrażenie, że wszystkie te wątki kłaniają się służebnie głównej osi fabularnej,

którą jest warszawskie życie nocne. „Burza” to powieść kawiarniana – na wzór „Gry w klasy”. U Julio Cortazara bohaterowie „chodzili i rozmawiali” po ulicach Paryża i Buenos Aires. I tutaj deszcz zalał Polskę tylko po to, żeby bohaterowie mogli „chodzić i rozmawiać” po ulicach Warszawy. Żeby Hitchcock szukał spotkania z Karolem Irzykowskim, Witkacym i Leonem Chwistkiem, czerpał z ich mądrości i zachwycał się smakiem kiszonych ogórków; żeby Orwell próbował zrozumieć Polskę, wypytując przypadkowego studenta; żeby młodzi „Rudy”, „Zośka” i „Alek” razem z Karolem Wojtyłą, Stanisławem Lemem i Krzysztofem Kamilem Baczyńskim bratali się z Sophie Scholl i Otto Schimkiem (ci dobrzy Niemcy) oraz razem szli na karuzelę przy placu Krasińskich (sic!), żeby popularny ostatnio Tewje Bielski rozegrał wieloznaczną erotyczną grę z Leni Riefenstahl, żeby Witkacy uwodził Marlenę Dietrich, Starzyński nakłaniał komunistów z Broniewskim na czele do obchodzenia święta Józefa Robotnika, sanacyjny klawisz więzienny (który w rzeczywistości zginął w Katyniu) łagodził radykalizm więźnia Ozjasza Szechtera, a Gombrowicz ze swoją grą pozorów wyprowadzał w pole niemieckich szpiegów.

Bohaterowie „Gry w klasy” szukali dobra, tępiąc filistrów. Bohaterowie „Burzy” szukają cnót przeciwnych, mieszczańskich – kompromisu, braterstwa, uczciwości. Parowskiemu daleko również do awangardy Cortazara, jawnie stawia on na prostotę. Po latach upraszczania cudzych tekstów wypadało samemu pisać prosto i przejrzysto.

Ocalałem, prowadzony na rzeź

Czym więc jest „Burza”? Ta powieść to literacka wyrwa w murze, desperackie zerwanie żelaznej kurtyny w imieniu pokolenia Europejczyków,

które żyło w izolacji od Europy. Chodzi przede wszystkim o ludzi kultury, którzy tworzą ponadpaństwowy rząd dusz. „Burza” to fantastyka, ale przedmiotem fantastycznych spekulacji nie jest technika, nauka ani społeczeństwo, tylko kultura. Parowski w alternatywnej Polsce rekonstruuje spory kulturowe, którym nie pozwolono się wydarzyć w rzeczywistości. Takiego założenia nie można było zrealizować, posługując się fikcyjnymi postaciami. Przecież nie można w powieści sfabrykować w sposób przekonujący wybitnego poety, kompozytora, malarza. Można wymyślić nazwisko takiego człowieka, wmówić czytelnikom, że jest to doprawdy szycha, ale nie napisze się jego wierszy. Przykładem takiej desperackiej próby jest postać Adriana Leverkühna, genialnego kompozytora z „Doktora Faustusa”. Tomasz Mann, żeby przekonać odbiorcę o geniuszu muzyka, zalał powieść wylewnym rozwodzeniem się nad sztuką kompozycji. Parowski, żeby uwiarygodnić fikcyjnych twórców, musiałby napisać kilka takich „Doktorów Faustusów”. Tak więc w „Burzy” musieli wystąpić prawdziwi Baczyński, Schulz, Boy i Słonimski w starciu z prawdziwymi Ionesco, Camusem, Ilią Erenburgiem i Arturem Koestlerem, tak aby za ich plecami stała ich prawdziwa literatura.

Forma powieści robi duży krok w kierunku eseju, publicystyki. Rozdziały książki bowiem są krótkie, epizodyczne, nastawione na dialog, przypominające felietony. To niemal powieściowy panel dyskusyjny. To zabieg ryzykowny – publicystyka szybko się starzeje. Chyba że dobrze się zrośnie z warstwą fabularną (tak jak chociażby u Prusa). Parowskiemu najwyraźniej pasuje taka forma, bo nie jest opowiadaczem historii. To człowiek, który poiknął dużą część światowej kultury, przez kilkadziesiąt lat pisał felietony, recenzje, wstępniaki. I raczej nie protestuje, kiedy te krótkie formy się rozlażą po powieści i zaczną szarpać się nawzajem, tworząc swoistą przegę kulturoznawczą.

Znowu mit kompensacyjny?

Od tego pytania nie można uciec. Czy ta książka stoi w grupie utworów huraoptymistycznych, pokazujących wyśnioną potęgę państwa polskiego, jakie powstawały ostatnio tłumnie, przeważnie w szeregach fantastyki (Ziemiański, Lewandowski, Guzek)? Według mnie, pomimo wszelkiego zaklinania, „Burza” nie stoi daleko od tamtych utworów. Parowskiemu wcale nie chodzi o dominację militarną Polaków – bajka z deszczem gnębiącym hitlerowców jest jedynie pretekstem. Chodzi o rewanż kulturowy, moralny. Widać tu jakieś echa polskiego mesjanizmu, z którego wynikała przed wojną postawa polityczna Polski. Postawa naiwna, ale moralnie bez zarzutu, nie prowadząca do wyrządzanych innym państwom świństw takich jak zdrada lub napaść. Kiedy w wyniku cudowniej interwencji polityka Polski nie kończy się katastrofą, jako zwycięzcy mamy prawo ferować wyroki i reszta świata choć po części przyjmuje w końcu polski punkt widzenia.

I wszystko układa się jak we śnie. Sympatycy Polski (jak Orwell, Camus, de Gaulle, Arthur Koestler) sympatyzują z nią aż do bólu. Niby sojusznicy, za którymi Polacy (i raczej tylko Polacy) nie przepadają (jak arogancki Montgomery, antypolski Stauffenberg, czerwony jak cegła Erenburg), zostają potępieni przez światowe elity intelektualne. A pokłony polskiej rzeczywistości oddają ludzie postronni pokroju Hitchcocka, Roberta Capy, Maxa Schmelinga czy Marleny Dietrich (pchającej się w ramiona Witkacego i naszych pokojówek).

Skąd ten idealizm świata? Myślę, że przyczyna leży po stronie osobowości autora. Wbrew temu, co się czasem sądzi, Maciej Parowski nie jest zwolennikiem konfliktów. Przyjazna natura to rzecz u człowieka nieoceniona. Chyba że zacznie brać władzę nad jego wyobraźnią. No i niestety

w świecie Parowskiego bohaterowie unikają świństw. Zmierzają ku powszechnej miłości. Komuniści przestają wierzyć w komunizm. Brytyjczycy przestają się szczyć imperiaлизmem. Oficer Wehrmachtu brata się z Polskim generałem. Francuzom wstyd za ich tchórzostwo. Piewczynie nazizmu rozkłada nogi przed żydowskim wojaikiem. Wszyscy zaś drżą na widok niezłomnego Józefa Becka.

Właśnie Józef Beck jak soczewka skupia wszystko, co w tej książce może drażnić. Sanacyjny minister, który w sytuacji bez wyjścia wybrał wyjście najbardziej naiwne, kładące Polskę pod pancerne gąsienice. Zwodzony przez sowieckich agentów, krytykowany za brak realizmu, polityczną głupotę, kiedy już wszystko było stracone, ratował się słowami o honorze, które zapewniły mu wiekopomną sławę. Słowa te, przyznajmy, doskonale się nadają do przestrzeni symbolicznej, ale w rzeczywistości były pieśnią klęski. W „Burzy” Beck przedstawiony został jako filar polskiej racji stanu, roztawiający po kątach ościennych ambasadorów i rozliczający z honoru sojusznicy i wrogie mocarstwa. Jednak jemu samemu rachunków, choćby przez insynuacje, nie wystawia nikt. I tak jest w stosunku do całej polskiej elity. Nikomu nikt nie przypisuje przyczynienia się do 50-letniej polskiej smuty. Wszystko, również nasza słabość i naiwność, jest winą naszych wrogów.

Sen o godności i wielkości narodu zawarty w „Burzy” może podnosić na duchu. Ale jeszcze bardziej może stać się gorzką pigułką poprzez uświadomienie, jak wiele straciliśmy i że żyjemy w dużo gorszym świecie.

Krzysztof Głuch